

Tomasz Rowiński: Rytuał i forma

Stara liturgia rzymska jest źródłem i szczytem formy katolickiej, katolickiego życia - nie służy niczemu poza Bogiem, ale dzięki temu nadaje kształt życiu wierzących - przeczytaj tekst z „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Zgubiona forma Kościoła.

O cienie Lutra! O cienie reformacji i jej protestu przeciwko nic nie znaczącym rytuałom, przeciwko mechanicznej religii, łacinie jako językowi kultu, bezmyślnym recytowaniom litanii. Dziś, tu i teraz, na nowo przeżywamy bunt przeciwko rytualizmowi.

Mary Douglas

W tych krótkich uwagach na temat sensu formy liturgicznej nie da się powiedzieć wszystkiego, nie da się nawet powiedzieć wszystkiego, co ważne, a co więcej łatwo ominąć również to, co dla czytelnika może okazać się pożyteczne.

Pragmatyzm

Można z pewnością jednak wskazać przynajmniej dwa elementy, które zaważyły na tym, że pod koniec lat 60. w Kościele postanowiono dokonać radykalnego przekształcenia formy liturgii. Oba te elementy są świadectwem – nie zawsze udanego – zmagania się Kościoła katolickiego z nowoczesnością. Pierwszym z nich jest pragmatyzm nowoczesności dogmatycznie niechętny rytuałowi jako wyrazowi społecznego irracjonalizmu. Akceptowalny staje się on dopiero wtedy, gdy daje się zracjonalizować w logice świeckiej. Racjonalizacja oznacza, że rytuał powinien być całkowicie zrozumiały – nie tylko w formie języka, ale i przejrzystości treści. Konieczne też musi być funkcjonalny, czyli spełniać np. warunek pedagogiczności. Oczywiście tak, jak wyobrażamy to sobie w czasach nowożytnych, czyli jako słowny przekaz, opowiadanie. Skoro jednak liturgia nie jest zbyt dyskursywna, zatem należy ją maksymalnie uprościć, by komunikaty wnikały w umysły wiernych. Jeśli mimo tego nie okażą się zbyt pojętni, a z czasem – zbyt zainteresowani, trzeba im tę liturgię uatrakcyjnić. Ostatecznie zatem liturgia zamienia się w mówienie i aktywizację.

Mary Douglas, wybitna przedstawicielka nowoczesnej antropologii i katoliczka, tak pisała – zresztą ironicznie – o swoich rozmowach z nowoczesnymi katolikami w końcu lat 60.

„Kiedy pytam mych przyjaciół, dlaczego owe nowe formy uważane są za wyższe, dostaję odpowiedź w duchu Teilhardystowskiego ewolucjonizmu, który zakłada, że racjonalne, wyraźnie sformułowane, osobiste oddanie się Bogu jest w sposób oczywisty bardziej rozwinięte niż jego domniemane przeciwieństwo, formalne posłuszeństwo. Gdy to kwestionuję, dowiaduję się, że rytualny konformizm nie jest słuszną formą osobistego zaangażowania i nie idzie w parze z pełnym

rozwojem osobowości. Dowiaduję się także, że zastąpienie rytualnego posłuszeństwa zaangażowaniem racjonalnym nada życiu chrześcijan głębsze znaczenie. Ponadto jeśli chrześcijaństwo ma zostać uratowane dla przyszłych pokoleń, rytualizm musi zostać wykorzeniony, jakby był chwastem odbierającym życie duchowi. Znajdujemy tu klimat podobny do antyrytualizmu, który zainspirował wiele sekt ewangelicznych. Nie musimy wracać do reformacji, aby rozpoznać tę falę, która w osobiwy sposób niesie owych nowoczesnych katolików”.

Jak powiedziałem, liturgia pragmatyczna z czasem staje się – w najlepszym razie – tylko pretekstem do głoszenia kerygmatu, narzędziem budowania wspólnoty opartej o więzy emocjonalne. Zanika jej wymiar paschalny i to, co Arnold van Gennep nazwał obrzędem przejścia, a Victor Turner – inny klasyk nowoczesnej antropologii i katolik – liminalnością. Chodzi bowiem nie o funkcjonalne społecznie zebranie, ale o możliwość uczestniczenia w czymś, co nie dzieje się naszą własną siłą i co nie naszą własną siłą jest uczynione. I nie może się odbyć inną drogą niż przez rytuał, ponieważ jemu jest zarezerwowane.

Kiedy ktoś mówi, że najważniejsza jest relacja z Bogiem, a rytuał szkodzi wierze, pytam zwykle, co to znaczy. Jak można mieć relację z Bogiem, którego nikt nie widział? Jeśli chodzi tylko o modlitwę osobistą, to po co nam chodzić do Kościoła? Jeśli chodzi o wspólnotowe doświadczenie religijne, to większą atrakcją będzie pewnie spotkanie grupy modlitewnej w jakiejś charyzmatycznej wspólnoty. Jeśli tylko o sakramenty, to zredukujmy wszystko do łamania chleba, samych formuł sakramentalnych etc.

Jednak pomiędzy Bogiem a pobożnością znajduje się spoiwo, które przekazuje nam prawdę o Objawieniu i w ten sposób karmi naszą wiarę[1]. Zawiera ono i sakrament, i modlitwę, i wspólnotę, i piękno, ale jest nie tylko sumą powyższych, ale dodaje coś od siebie. To właśnie rytuał.

Przywołajmy jeszcze opinię Victora Turnera o kryzysie formy liturgicznej w Kościele:

„Niektóre spośród »reform« rytuału opierają się na rzekomo »naukowych« teoriach społeczeństwa, które w rzeczywistości z punktu widzenia natury ludzkiej są nieadekwatne. Na Konstytucję o Liturgii Świętej w oczywisty sposób miał wpływ strukturalny funkcjonalizm. W jego optyce struktura rytuału odzwierciedla strukturę społeczną, a zatem jeśli ta ostatnia ulega zmianie, zmienić się musi również rytuał. Jego znaczenie sprowadza się do funkcji, jaką jest okresowe wzbudzanie pewnych »uczuć«, od których zależy pomyślne działanie danej formacji społecznej. Oprócz tego w tekście Konstytucji daje się również zauważyć wpływ behawioryzmu. Przybiera on postać założenia, że posługując się »wzmocnieniem«, można »uformować« wiernych, tak aby zaakceptowali to, co grono decydentów spośród teoretyków liturgii uważa za socjologicznie właściwe i dlatego dla nich [tj. wiernych] »dobre«”

Zarówno strukturalny funkcjonalizm, jak i behawioryzm są koncepcjami przestarzałymi, opierają się bowiem na metaforze czy też modelu społeczeństwa jako ściśle zintegrowanego systemu, czegoś na kształt żywego organizmu lub maszyny. Tymczasem należy je uważać

raczej za proces, który posiada pewne systemowe cechy charakterystyczne i który w nieunikniony sposób przechodzi zarówno przez twórcze momenty antystrukturalne, jak też przez długie okresy strukturalnej stabilności. Moim zdaniem jedną z przyczyn szerokiego odchodzenia wielu katolików – ludzi, którzy nadal uważają się za chrześcijan (i smucą się jak wdowa po śmierci tego, kogo kochała) – od instytucjonalnego życia Kościoła jest całościowe przekształcenie form rytualnych, do jakiego doszło pod wpływem teorii spod znaku pozytywizmu i materializmu. Popełniono błąd w kwestii mas wiernych oraz ich zapotrzebowania na powtarzalność i archaiczność. Pomyłono się również co do oceny modlitwy i życia wewnętrznego. W rzeczywistości bowiem nie istnieje sprzeczność pomiędzy liturgicznym archaizmem i religijną kreatywnością: są one dwiema stronami tej samej liminalnej monety. I obie muszą zostać utrzymane, gdyż Filistyni są nad nami (por. Sdz 16)!

Moc woli

Drugi element, który wprowadził kryzys do serca Kościoła – a jest nim bez wątpienia właśnie liturgia, to specyficzna instrumentalizacja racjonalności i rozrost mocy władzy politycznej. Nie ominął on w pewnym sensie także i Kościoła, co widać było w przekonaniu, powszechnym w czasach Soboru Watykańskiego II, że Papież – mówiąc w skrócie – może wszystko. Tymczasem – i dziś powinniśmy stawać się coraz bardziej tego świadomi – na tym polega największa pokusa władzy w Kościele. Ostatnie lata i debaty, jakie toczyły się wokół synodów dotyczących rodziny, stały się dobrym obrazem tego zagrożenia. Potrzeba jedności woli, która jest ucieleśniona w urzędzie papieskim, i która spotyka się z tendencjami do przekroczenia tradycji, a zatem tego, co rozumiemy jako doktrynę katolicką, ale także – jako

własną racjonalność Kościoła. Instrumentalizacja rozumu/tradycji/doktryny oznacza, że życiowy akcent zostaje przesunięty z depozytu prawdy, jaka jest przekazywana, z wierności powierzonej reprezentacji na spoistość wspólnoty, na jej stan ilościowy, dobre samopoczucie członków, tożsamość z mentalnością współczesną. W przypadku Kościoła taki proces to zagrożenie rzeczywistą sekularyzacją – nie w sensie odchodzenia wiernych, ale sensie utraty rozumienia własnej misji na rzecz rozmaitych form możliwej do zachowania władzy. Kiedy niemieccy kardynałowie chcą dopuszczać do komunii osoby rozwiedzione i pozostające w ponownych związkach, to – świadomie lub nie – realizują interes Kościoła w Niemczech, ale rozumiany jako grupa wpływu lub korporacja. Po prostu liczną, że zatrzymają ludzi przy Kościele i płaceniu podatków. Kiedy demontowano formy liturgiczne, sądzono, że nie tylko uda się utrzymać stan posiadania Kościoła, lecz także dzięki „bardziej praktycznej” i „nowoczesnej” (cóż za anachronizm!) praktyce przyciągnie się słabiej wykształcone i ześwieczone warstwy robotnicze. Chciano poszerzyć władzę, nie dbając zbyt o depozyt. Tak można zdefiniować postchrześcijaństwo. Oczywiście czyniono to z dobrą wolą, jednak nie mogła ona odwrócić błędów intelektualnych.

W tym też kluczu właśnie wypada czytać praktyczną realizację reformy liturgicznej, która trudna jest do pogodzenia nie tylko z dawniejszą tradycją, ale nawet z dokumentami Soboru Watykańskiego. Opinia ta niestety pozostałaby zupełnie niszowa, gdyby nie wyraził jej swego czasu kard. Ratzinger, który potem został Papieżem. Gdy władza zaczyna dominować nad tradycją, czyli *par exellece* racjonalnością, zwykle dochodzi do erozji formy, czyli sposobu życia, a jej miejsce zajmują inne racjonalności, ponieważ władza nie może ostać się sama. W praktyce chętnie zbliża się ona z rodzajem pragmatyzmu, o którym

писаłem na początku i który był cechą charakterystyczną pewnych nurtów ruchu liturgicznego naśladowujących główny nurt kultury (w Polsce byli to choćby ks. Kornilowicz i o. Woroniecki).

Przeciw złotym cielcom

Stara liturgia rzymska jest źródłem i szczytem formy katolickiej, katolickiego życia – nie służy niczemu poza Bogiem, ale dzięki temu nadaje kształt życiu wierzących. Jej działanie jest w pewnej mierze tajemnicze, tak jak tajemnicza jest jej forma, nawet jeśli dobrze poznamy historię liturgii. Nie ma swojego autora, wiemy, że nie może się obyć bez tego, co nadprzyrodzone i naturalne, nie może się odbyć bez piękna, bez muzyki, bez archaiczności, bez rytuału, bez tego, czego nie rozumiemy. A jednak jest wobec nas oschła, jak adoracja Najświętszego Sakramentu, nie rozpieszcza, choć oddziałuje na zmysły, raczej oczyszcza. Nie jest ona miejscem, w którym wyrażamy siebie – to Bóg wyraża się w niej, byśmy przyjęli formę od Niego. Gdy porzucamy tę historycznie „względną niezmienność”, którą nam daje, dzieje się coś dziwnego – spostrzegamy, że Bóg jest, ale już nie tutaj, i przestajemy przychodzić do Kościoła lub tworzymy złotego cielca, ulepionego z naszych emocji i chcenia, z gadania i nauczania, z nieustającej aktywności, siadania i wstawania, które nie różni się już prawie niczym od kieratu pogan.